Lwów, 19. Grudnia. Nr 151. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we Wtorek, Czwartek i Sobotę. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wierszu pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1½ kr. i za opłatę 10 kr. stepl. za każdorazowe umieszczendi. Bióro expedycyi wksięgarni H. W. Kallenbacha.

Z ŻYCIA AKTORA POLSKIEGO.

Przypadek, ten twórca najciekawszych zawikłań i najdramatyczniejszych rozwiązań, którym każdy z powieściopisarzów zazdrościć może, zrządził, że poznałem się razu jednego i to zupełnie niespodzianie z głównym tych obrazków bohatyrem, który mi opowiedział niektóre z życia swego ustępy. Jakoż są to tylko urwane ustępy, prawdziwe szkice, nie zdolne utworzyć całości, ale mogące dać niejakie wyobrażenie o stanie smutnym sztuki i aktorów w naszym kraju. Może się przydadzą komuś, który zechce zebrać w całość dzieje życia teatralnego u nas, dzieje tem ciekawsze, że się ściśle łączą z dziejami sztuki, i zawierają w sobie najważniejsze przyczyny smutnego jej stanu.

Był to cudownie piękny wieczór czerwcowy, gdy dojeżdżałem do Żytomierza, stolicy Wołynia. Śliczny to był wieczór i śliczna okolica! Do dziś dnia jeszcze panuje ten u nas narów, że to tylko piękne, co tam gdzieś daleko za granicami kraju naszego. Czyśmy sami widzieli, czy słyszeli tylko, podziwiamy, sławne z opisów okolice cudne a kraj własny znamy tak mało, że nie raz zdarzyło mi się widzieć najnaiwniejsze zadziwienie na twarzach słuchaczów moich, gdym opowiadał o podróżach w własnym kraju odbytych, i opisywał piękności przyrody naszej ojczystej. Ledwie że na piękność Tatrów pozwalamy, i to dla tego tylko, że i cudzoziemcy przystali na nie; o reszcie kraju jakie takie mamy wyobrażenie, i jeżeli kiedy przystajemy na chłodną pochwałę tej lub owej mniej znanej okolicy, to dla tego chyba, że ją podniósł pięknem piórem który z poetów naszych. I cóż dziwnego! Jest to już u nas dawny i niewykorzeniony dotąd obyczaj, wędrować i tracić pieniądze za granicą. Czy kto odziedziczył po przodkach czy innym sposobem zebrał jaki zasób pieniężny, puszcza się w podróż, wlecze się bezmyślnie z kąta w kąt, rozdziawia gębę nad Renem, na widok Alpów dostaje entuzyastycznej drządczki, w pamięć swoją jak do pudła podróżnego pakuje bezładny spis widzianych arcydzieł, i wróciwszy do kraju z pogardą i politowaniem patrzy na wszystkie swojskie obrazy, jako niegodne uwagi człowieka wykształconego. Wszakże nie tak to dawno temu jak zdybałem jednego z takich podróżników w Krakowie.

— Pojdźmy do katedry! ozwałem się do niego.

Na nieszczęście mój podróżny wracał prosto z Włoch, dokąd wyjechał z pustą głową i więcej jak skąpym zasobem wiadomości.

— Kto widział Karola Boromeusza, ten nic już nie zobaczy ciekawego w katedrze krakowskiej! odrzekł mi dumnie.

— Ja przecie, dodał po chwili oglądając się tryumfalnie w około, jadłem obiad z lordem Talbridge w nosie Karola Boromeusza; siedziało nas sześć osób przy stole.

Było nas kilku; śmiech homeryczny przyjął to ozwanie się podróżnika. Miłosiernie poglądnął na nas, litując się nad nami, że niewidzieliśmy tego olbrzymiego posągu św. Karola Boromeusza, w którego głowie istotnie spleenowaty jakiś anglik wyprawił obiad na kilka osób.

Dopiero dowiedziawszy się że w katedrze krakowskiej jest posąg roboty Torwaldsena, zdecydował się nasz podróżnik odwidzić tę świątynię naszej przeszłości, naszej sławy, naszych pamiątek dawnych.

Otóż po większej części, każdy u nas ma w swej głowie taki nos Karola Boromeusza, do którego miary nie przychodzą mu ojczyste czy obrazy, czy widoki, czy pamiątki.

Te albo temu podobne myśli krążyły po głowie mojej, kiedym owego wieczora wyjeżdżał pomału drogą od Cudnowa wiodącą z ogromnego kilkumilowego lasu, i nagle z wysokiej dosyć góry, ujrzał to stare miasto grodowe, dziś stolicę gubernii wołyńskiej. Żytomierz nie regularnie zbudowany, rozrzucony na wzgórkach, wznosił się przed oczami memi, ocieniony zewsząd przedmiejskiemi ogrodami i sadami; a tuż u stóp jego po skałach i kamieniach pomiędzy drzewa i chaty szumiała rzeczka niewielka ale bystra. Krętym biegiem w dziwnie wdzięcznych przegubach, gdyby wąż o różnobarwnej łusce, pomykała Kamionka (takie jest tej rzeczki miano) coraz dalej a dalej pomiędzy lasem umajone pagórki, pomiędzy skały o dziwnych kształtach, pomiędzy zielone futory, dalej i dalej, aż póki z szumem nie wpadła do Teterowa, drugiej rzeki która to miasto z innej okola strony. Kto zna położenie Żytomierza, przyzna że mało jest okolic, które by zdołały tak silnie ująć wyobraźnię rozlicznością cudnych a prawdziwie swojskich widoków. Tam lasy, i to te nasze prawdziwie polskie lasy, jakich już dziś nigdzie nie zdybać za granicą, ciemne, przepaściste, niebotyczne, miodem

i żywicą pachnące pełne gwaru sobie właściwego, leśnych ptaków, hukających bąków, których echo stokroć odbite tworzy harmonię cudownej piękności. Tam skały najdziwaczniej pokrajane, na pół nagie, na pół zielonością umajone. Tu rzeka po kamieniach, skałach i młynach szumiąca i warcząca. Tam sady, tu domy z swemi ogrodami nad wodą wiszące; a tam dalej płaszczyzna z całem bogactwem swych niw urodzajnych, i mnóstwa ziół jakby kląby jakie tu i owdzie rozrzuconych. Cudowny widok, godny pióra naszego Adama, który te wszystkie uroki naszej ziemi, wywiózł w obczyznę w sercu swojem, i dla tego je wyśpiewał piersią serdeczną, piersią nieśmiertelną.

Jadąc po mału, zachwycałem się urokiem tego krajobrazu. Prawda, że wieczór był uroczy, wieczór wiośniany; i ja byłem w wiośnie życia, w wiośnie uczuć, nadziei i marzeń tysiąca. Widziałem i później tę samą okolicę, piękną była jak zawsze! Lecz gdzież były wiośniane uczucia, nadzieje, gdzie marzenia! Przepadły bez wieści! Łza dawniejszego zachwytu, zmieniła się w łzę, pamiątkom przeszłości poświęconą.

Lecz wówczas byłem młody! i niecierpliwie dążyłem do miasta; bo w mieście, czekała na mnie matka, czekały siostry, i jeszcze coś więcej czekało na mnie, co się odzywało w młodem sercu przeczuciem, tęsknotą!

Na skręcie drogi, kiedy już z góry mój lekki powozik ku rzece spuszczać się zaczął, przy świetle zachodowego słońca ujrzałem obrazek, który mnie tak mocno uderzył że do dzisiaj żywo pozostał w pamięci.

Na środku drogi stał wóz ogromny, długi, cały okryty płótnem, podobny do wozów, jakiemi u nas przewożą towary. Mnóstwo głów wyglądało z tego powozu a tuż koło niego stała grupa ludzi, z czterech osób złożona. Mnie odrazu uderzyła jedna z nich. Była to oczywiście kobieta młoda i piękna. Dziś stary wiekiem i doświadczeniem, ledwie zdołałbym odmalować tę twarzyczkę białą, rumianą, figlarną, owinioną jasnemi włosami, które w świetle zachodzącego słońca złotem się promieniły. Niebyło może na tej twarzy świeżości, nie było nawet rysów regularnych, ale było coś w oczach tak wyzywającego i pociągającego razem, co sprawiło niepospolite wrażenie na mnie młodym. I w ubraniu jej panowała jakaś różnorodność tak dla mnie nowa i ciekawa, taka sprzeczność zarówno o zaniedbanie i wykwintność granicząca, że to wszystko razem miało dla mnie powab jakiś niepojęty, bo dotąd nieznany. Jednem słowem podobała mi się. I nim się zastanowić mogłem, jużem był wyskoczył z bryczki, i idąc ku stojącym przy wozie, przypomniałem sobie dopiero, że w samej rzeczy wysiąść należało; bo góra była dosyć stroma, a więc bespieczeństwo nakazywało iść piechotą i powóz zahamować.

Zajmowała mnie też niemało postawa tych wszystkich czterech osób. Cała ich powierzchowność i rozmowa którą słyszałem, bo była bardzo głośna, miała w sobie coś szczególnie ciekawego. Wyrazy, śmiechy i słowa mówiących miały na sobie dziwną cechę, trącającą o tragiczność i komiczność razem.

Obok młodej kobiety, stało dwie drugich kobiet, jedna znacznie starsza, druga w średnim wieku. Za najmłodszą oparty o wóz stał mężczyzna w sile wieku, nie piękny w całem słowa tego znaczeniu, ale pełny tych powabów, jakie daje młodość i humor wesoły. Z twarzy okrągłej, jasnej, otwartej i zuchwałej nieco, wyglądała widocznie mazurska dusza. Ubiór jego był arcy zabawny. Na głowie bowiem miał pokrycie jakieś pstre, trochę do czapki, trochę do tureckiego turbanu podobne; wierzchniej nie miał sukni, ale za to na koszuli odrapował sobie hiszpański płaszczyk jakiś, z mieniącej materyi, widocznie kobiecy, pyszne niegdyś haftowane pantofle miał na nogach miasto butów.

Kobieta w średnim wieku, co do stroju nadzwyczaj pstrokatego i pretensionalnego razem, podobna była do młodszej, ale jakże różna od niej co do twarzy i jej wyrazu. Były i w jej twarzy ślady piękności niedawnej nawet, ale sponiewieranej na licach wychudłych, przeciągniętych wielką bladością pokrytych; natomiast z oczów strzelała żywa, gorączkowa prawie, widocznie stracona młodość. Na ustach było przykre jakieś skrzywienie, niby zalotne niby szydercze, ale zato postawa była dziwnie wyuczona, wpadająca w wysoką tragiczność.

Powierzchowność kobiety najstarszej była najsmutniejsza. Twarz okropnie chuda, zmarszczkami poorana, żółta pargaminowa, a przytem pokryta jakiemś dzikim i nienaturalnym rumieńcem, czy różu czy upicia się. W oczach, których ciemna barwa i kształt do najpiękniejszej twarzy się stosowały, była chorowita jakaś i rozpaczliwa ruchomość. Na chudem, szkieletowatem ciele wisiały resztki jakichś wykwintnych ubiorów, zbierana drożyna, ale widocznie z pałaców; same tam bowiem były aksamity, same jedwabie, same koronki, ale to wszystko pobrudzone, popełzłe, w frędzle rozlatujące się. I w ruchach tej kobiety były jakby resztki pałacowych obyczajów, salonowego zaokrąglenia.

Cóż więc dziwnego że mnie to grono uderzyło nadzwyczaj, grono nadzwyczaj odbijające od okolicy, od zwyczajów onej dobrze mi znanych, któremu nie mało ciekawości dodawał w oczach wóz ten prosty, rzadko na Wołyniu widziany, który widocznie należał do grona tego wraz z głowami wystającemi, z których każda miała jakiś typ szczególnie zabawny, nienaturalny, i które zdawały się ciekawie i szyderczo przypatrywać i przysłuchiwać odgrywanej przed niemi scenie....

— Nie! nie! ja tego nie przeżyję! zawołała najstarsza kobieta patetycznym głosem, który głucho jakby z

jaskini, dobywał się z jej suchych i zapadłych piersi i ręce załamane wzniosła do góry z wyrazem prawie prawdziwym.

— Ależ pani hrabina raczy się zastanowić! ozwała się kobieta w średnim wieku, głosem deklamacyjnym.

— Dajże mama pokój!... ozwała najmłodsza się na pół serio, na pół z uśmiechem, głosikiem czystym i dźwięcznym jak dzwonek. W tym głosie było pełne życie, była spiewność lat młodych, było coś miłego i pociągającego. Był to głos syreni; takim się przynajmniej wydał mnie, który uczułem w sercu jakąś szczególną tęsknotę. Ja bym w tej chwili powędrował w świat za tym głosikiem, za tym oczkiem figlarnem.

Młody człowiek nic się nie odezwał, jeno musnął ręką po jasnym wąsiku i uśmiechnął się z lekka i szyderczo. Zdawał się drwić z tej sceny na poły patetycznej.

— Moja córka ma jechać w tym wozie okropnym! O Boże! jaż się mam na to patrzeć!... ja!... nie!... ja tego nie przeżyję, ja na to zezwolić nie mogę. I znowu ręce załamała, i wyciągnęła je naprzód, dodając ze łzami w oczach: Zoniu! biedna Zoniu! —

— Moja mamo! kiedy ja nie biedna zupełnie, ja się nie skarżę.

I wtej chwili zdało mi się, że najognistszy jej oka błękitnego promień padł na twarz młodego człowieka; jakoż twarz ta rozjaśniała się nagle uśmiechem szczerym, serdecznym, poczciwym...

— Pani hrabina raczy mi wierzyć; mówiła znowu kobieta w średnim wieku, przybierając coraz nowe postawy i głos swój ostry naginając do jakiejś sprzecznej i nudnej jak lukrecya słodyczy. Pani hrabina niech będzie przekonana, że Zosi będzie dobrze z nami. My ją wszyscy kochamy.

Znowu zdybały się dwa młode wzroki, spojrzeniem jednem ale tak wymownem, żem odrazu je zrozumiął, i zabolało mnie coś w sercu, ale zarazem uczułem pociąg sympatyczny do tych dwojga młodych ludzi.

— Ja dla niej jestem i będę kochającą siostrą! ciągnęła dalej starsza kobieta głosem wymierzonym jakby do oddania wierszów długich i poważnych. Gdyby nie mój wiek i bytność pani hrabiny, powiedziałabym, że mam dla niej serce matki.

— Ale ten wóz! ten wóz! krzyknęła najstarsza z najwyższem uniesieniem.

— Owa! to wóz kapitalny! zawołał głos z samego wozu, głos męski i chrapliwy. Wyzzedł on z ust należących do głowy rozczochranej, do twarzy trądem pokrytej, do oczów piwnych i małych, wynadgrodzonych za to ustami, przeciągniętemi na prawdę od ucha do ucha. Spi się w nim doskonale, dodał: na dowód czego wyjąwszy z gęby krótką, bakunem napchaną fajkę ziewnął potężnie.

— Ten wóz mnie zabija! wołała hrabina dalej. Wyście mnie oszukali; jabym niepozwoliła, żeby Zosia moja takim okropnym jeździła wozem.

— Ależ mamo moja, mnie w tym wozie daleko wygodniej, niżeli w najlekszym powozie.

— Niewierzy pani hrabina jak lekko nosi, wszakże dawne Rzymian i Greków powozy, nie były czem innem.

— Ja mamo daleko teraz szczęśliwsza, niżeli gdyśmy się obie włóczyły po Europie z jednej stolicy do drugiej.

— Szczęśliwsza? Zosiu ty bluźnisz.

— Stokroć szczęśliwsza! odrzekła Zosia, i za wzrokiem pobiegła ręka, serdecznie uściskana przez młodzieńca. Szczęśliwsza, bo wolna, niezwiązana tysiącem waszych konwencyonalnych oków.

— A nasze bale, nasze zabawy pełne świateł, woni, diamentów! zawołała matka.

— A nasze długi, i ciągłe ucieczki przed niemi z miasta do miasta, odrzekła córka.

— Dla czegóż oszukaliście mnie, wy ludzie niepoczciwi! deklamowała dalej hrabina, obracając się tragicznie w koło; i wymknęliście się z miasta pokryjomu, abym nie widziała tego przebrzydłego furgonu. Lecz moje serce przeczuło i wybiegłam za wami i dopędziłam was.

— Właśnie też znając czułe serce pani hrabiny, niechcieliśmy je wystawiać na rospacz rozstania się matki z córką. Słowa te wymówione zostały z wyrazem przesadnym uczucia; i mówiąca przyłożyła do oczów chustkę, by zetrzyć z nich łzy rozczulenia, o których mimo młodego niedoświadczenia mego zaczynałem wątpić niepomału.

— I ja byłam córką! dodała z ciężkiem westchnieniem.

— I matką także! ozwał się głos z woza, owego jegomości trędowatego, który w tej chwili z gestem dziwnie komicznym poprawił na głowie kapelusz biały, długi i tak okropnie połamany, że wydawał się podobnym do zwiędnięgo tulipanu.

Śmiech, ledwie przez przyzwoitość przytłumiony ozwał się z pod płótna. Wszystkie twarze wystające z woza zaśmiały się szyderczo.

— Nie! to nad siły moje! wołała coraz tragiczniej matka.

— Pani hrabino! chciej się opamiętać i zaufać mnie która nigdy jeszcze nie zdradziłam.

— Nigdy! powtórzyło echo trędowate, i biały kapelusz na znak radości wzleciał do góry.

— Nie, ja na to niepozwolę, wolę umrzeć. Zosiu uciekaj na moje łono... ja cię niepuszczę...

— Chciałbym to widzieć! zawołał młodzieniec, i twarz jego pokryła się rumieńcem, a czoło groźnie namarszczył.

Zazdrościłem mu w tej chwili jego twarzy, była na niej piękność energii.

— Panowie i panie! uszanowanie dla łona macierzyńskiego! ozwał się znowu trędowaty jegomość puszczając kłęby śmierdzącego dymu.

— Pani hrabino! czyliż mamy być dwie matki rywalki.

— Niechże już mama da pokój tym komedyom!

— Komedyom! komedyom! córko moja!.....

— Chcesz więc mama, abym znowu głód cierpiała, nędzę najokropniejszą; a co gorzej nadto, chodziła z domu i żebraczą rękę wyciągała, krzycząc każdemu lamentującym głosem: ja jestem córka hrabiny Odorskiej, niegdyś pani milionowej...

— Córko ty mnie zabijąsz!..:

Usłyszawszy nazwisko dobrze znane hrabiny Odorskiej, zdumiałem. Mnie naiwnemu młodzikowi zdało się że śnię to wszystko.

— Chcesz żebym się jak towar jaki przedawała....

— Moja Zoniu, szepnął półgłosem młodzieniec w turbanie, z przyciskiem wyrzutu.

— Nie! to już za nadto! ja umieram.... mdleję! zawołała przeraźliwie matka.

— Wody! panowie i panie, wody! biegnijcie do rzeki! wołał głos z pod płótna.

Tymczasem hrabina zaczęła się na prawdę słaniać do upadku. Wydało mi się obowiązkiem, biedz na ratunek, jakoż przyskoczyłem, w sam czas, by na rękach podtrzymać upadającą. (C. d. n.)

Tęsknota.

Matka.

Dziecię moje ukochane,
Czemuś takie zadumane?
Patrz, tu łąka tak zielona,
W cudne kwiatki przystrojona;
Tu ogródek, w nim motyle,
Na krzewinach ptaszął tyle;
I to wszystko woła ciebie,
A ty patrzysz wciąż po niebie!

Synek.

Łąka, ogród, błonie całe,
To jest wszystko takie małe!
Choć poigram z motylkami,
Z kwiateczkami i ptaszkami,
Łąki, wzgórza choć obiegnę,
I u stóp twych znużon legnę,
To bym jeszcze biegnąć rad,
Gdzieś w daleki, piękny świat,
A niemożna!
Jabym chciał,
Żebym ja się rybką stał!
Tobym płynął tym strumieniem,
Za wietrzyku lekkiem tchnieniem,
Po przez łąki, po pod gaje,
W coraz inne, piękne kraje,
Aż ku morzu szerokiemu,
A tam rozkosz sercu memu!
Tam to szczęśliw i swobodny,
Bujał bym ja w czystej fali,
Co zwierciedli świt pogodny,
Zachodnią się zorzą pali,
Lub odbija gwiazd tysiące,
I księżyca światło drżące.

Tam bym szczęśliw i swobodny,
Zanurzył się w świat podwodny
Gdzie śpią perły na dnie w morzu,
W złocistego piasku łożu,
Gdzie są gaje koralowe,
I bursztynu bryły płowe.
O tak wiecznie, tak bez końca,
To bym spojrzał w oko słońca,
To w cudownej głębi łono,
I przez wieczność nieskończoną,
Radbym płynąć dalej, dalej,
Po błękitnej morskiej fali.

Matka.

Dalej?.. Synku ukochany!
I szerokie oceany
Swoje brzegi mają przecie,
Nieskończoność nie na świecie!
Z resztą rybka głosu niema,
Jak z zerwaną lutnia stróną,
A pierś ludzka czyż wytrzyma,
Patrzyć w nieba i wód łono,
Bez westchnienia, bez podzięki,
Bez modlitwy i piosenki.

Synek.

Oj, nie mamo! Jabym chciał,
Żebym ja się ptaszkiem stał,
Ot skowronkiem. A ja czuję
Że mi tylko już brakuje
Kilka piórek u ramionek,
A leciałbym jak skowronek,
Jak te śliczne dzieci wiosny,
Nucąc Bogu hymn radosny,
Coraz chyżej, coraz wyżej
Tam do gwiazdek, do słoneczka,
Moja mamo, moja droga,
Ja uproszę może Boga,
Że mi da już te pióreczka!

Matka.

O dziecię me!
Ulituj się,
Nie odbieź mnie,
Do nieba sam!
O nie proś, me,
O piórka te,
I nie spiesz się,
Do nieba tam.
Gdybyś mnie odbiegł... mnie zostawił samą.....

Synek.

O nie, już nie chcę, nie odbiegnę, Mamo.

Matka.

Dobrze, więc chodź tu, niech cię uspokoję,
Niech cię upieszczę słodkie dziecię moje,
Słuchaj mój synku: i ziemia świat Boży,
A gdy człowieka serce się roztworzy
Wiarą, miłością, to taki szczęśliwy,
Takie tu widzi i cuda i dziwy,
Tak silnie kocha i Boga i ludzi,
Że go ta ciężka droga nie utrudzi.
A kiedyś dziecię, skończymy to życie,
I te sny nasze, tęsknoty, rojenia,
Wszystko się spełni, gdy nam u ramienia
Wystrzelą piórka, i wylecim oboje,
Z piosnką anielską, razem dziecię moje!

17 czerwca 1854 r. J. K. S.

Z PAMIĘTNIKOW UŁANA.

DRUGI USTĘP

(Dokończenie).

Po niedługim namyśle dał się mazur namówić i poszedł do szynku. Zrazu oknem poglądali na wóz, ale czwartak na raz go odwiódł od okna, a tymczasem jego socyusz, któren na to czatował, łap kobiałkę z wozu pod płaszcz i w nogi z nią do koszor— W krótce czwartak za wódkę zapłacił, pożegnał chłopa i popędził za tamtym. Ten widząc że mu kobiałkę skradli, nie czekając właścicielki, zaciął szkapy i dalejże do domu. Nasze zaś czwartaki przyszedłszy do koszar, nie mieli czasu przekonać się, czem ich pan Bóg opatrzył, bo właśnie na apel stawano, postawili więc kobiałkę w pryczy, na której oba sypiali. W czasie apelu, kiedy nikogo w sali niebyło, tylko służbowy, na raz zda mu się iż słyszy gdzieś kwilenie jakby dziecka. Słucha lepiej, aż to wyraźnie dziecko na prawdę płacze.— Przeżegnał się i splunął, bo już się szarawo robiło, myślał że jakie licho, a to jak płacze tak płacze. A służbowy nic nie widzi. Niewiele tedy myśląc, biegnie raportować sierżantowi kompanii — ten oficerowi od służby.— Przychodzą, wiara się z apelu schodzi — do rewizyi w pryczach — aż w jednej znajdują kobiałkę — do kobiałki? a tam ładniutki chłopczyna. — Do indagacyi! — wydała sie sprawka, posiedzieli za to w kozie, a jak się książę dowiedział, rzekł:

— Dobrze, kiedy im się dzieci zachciewa, to niech ich karmią. Żeby o tym chłopcu cały pułk miał staranie, on jest ich synem.

I tym to sposobem czwartaki mają syna.— Znalazła się i matka niezadługo, która zezwoliła na tę nad jej synem opiekę, a nawet jakąś pensyą dostała, bo to ma być porządna i pracowita ale biedna kobieta. Ciekawym zapytał jeden z obecnych, co się dzieje dziś z owym sławnym Pintakiem?

— O już on podobno wypadł z łaski, bo bardzo zaczął na kieł brać, tak że mu potem rady i pułkownik dać nie mógł — odpowiedział sierżant.

— A cóż to znowu za Pintak? spytałem ciekawie.

— Ot taki sobie Pintak; parobczak z krakowskiego, wzięty na rekruta ale go sobie w. książę upodobał tak że potem i powozy po niego na obiady posełał, pieniędzy dawał i różne historye — ot tfu do diabła! bo co nadto to i grzech.

— I jakże to było?

— O jak? oto tak: Zwyczaj jest zaprowadzony że jak rekrutów świeżo wziętych przyprowadzą do Warszawy, wszystkich ustawią podług wzrostu w dwa szeregi na saskim pałacu, a w. książę przyjeżdza i sam ich przydziela do pułków.

Jednego razu przyszedł transport świeży. Właśnie jenerałowie, Żółtowski, Rożniecki, Staś Potocki, nasz Żymirski, Kurnatowski, adjutanci, Trembicki i wielu innych ustawiali ich tam, uczyli jak się mają zachować, jak w. książę przyjedzie, gdy w tem kuternoszka Kurnatowski, dojrzał między niemi parobka w czerwonej czapce, chłopa rosłego, wysmukłego i śmiałej, otwartej fizyonomii.

— A zkąd ty kochanku? spytał go jenerał.

— Z krakowskiego, śmiało ten odpowiedział.

— A wystąp no naprzód.

Rekrut zrobił trzy kroki naprzód, z postawą należytą, stanął i ściągnął nogę po formie.

— A patrzcie panowie, on maszeruje dobrze— kto cię tego nauczył?

— Ot przypatrywałem się żołnierzom troszka, jakiem w radomskiem służył u szlachcica za furmana.

— No a na lewo w tył zrobisz?

— Ho, niewiem.

— Sprobójno dalej — lewo w tył — dobrze — zwrot— bardzo dobrze, doskonale! a wiecie panowie wyborna myśl! Będzie można w. księcia w dobry humor wprowadzić. — Słuchaj, jak w. książę przyjedzie, jeżeliby cię wywołał przed front, pamiętaj śmiałą wziąć postawę, ot taką, i wystąpić krokiem — ot takim, naprzód — a dobrze na tem wyjdziesz. Sprobuj jeszcze raz — naprzód marsz — bardzo dobrze — lewo tył — zwrot na swoje miejsce, marsz — lewo w tył, zwrot — oczy w prawo — oczy wprost — wybornie, kapitalnie!

I w samej rzeczy Konstanty przyjechał i obejrzał w szeregach ustawionych rekrutów, kazał po jednemu z listy czytać i naprzód występywać, z których każdemu zaraz przeznaczenie do jakiego pułku ma być przydzielonym, pisano na plecach kredą. Wywołano z listy i Pintaka. Ten wystąpił przed front śmiało, z postawą należytą, krokiem podwójnym. Jenerał Kurnatowski, niby to dopiero spostrzegłszy, zwrócił uwagę księcia na niego.

— Co ty dyzerter? zapytał go książę.

— Nie, jaśnie książę, odpowiedział Pintak niezmieszany.

— A co ty, zkąd ty umiesz maszerować?

— O! z ciekawości, przypatrywałem się żołnierzom, jak się musztrowali i nauczyłem się troszecka.

— Dobrze, no, rób zaraz — w prawo — w lewo — we front — lewo w tył zwrot, krok podwójny marsz, marsz, stój! Dobrze, tęgo — a bronią umiesz robić! hę?

— Ej możeby tam człek i potrafił troszecka.

— No dajcie mu karabin — baczność — na ramię broń — do nogi broń — tęgo — prezentuj broń — bardzo dobrze — dobrze, dobrze. — Na ramię broń — lewo w tył zwrot — krok podwójny marsz marsz, stój! — Jak się nazywasz.

— Pintak.

— Ha — Pintak — Pintak — co wy na to panowie? Pięknie się nazywa, nieprawda? — ha, ha, ha, no panie Pintak do czwartego liniowego.— Za tydzień żebyś mi się zameldował na posełki — rozumiesz?

Jak jenerał Kurnatowski powiedział, tak wypadło. Pintak w kapitalny humor wprawił księcia, nie tylko na ten ale i na następne dnie, ztąd potem i parady i wszystko szło dobrze. No i udały sie posełki! Przez tydzień jak wzięto braciszka w kupę, jak zaczęto obrabiać na wszystkie boki, dość że taką posełkę wyrobili z niego, jakiej dotąd pułk niemiał. Ale bo też to chłop był zręczny i ciekawy, jakich mało, prawdziwy krakowiak. Owóż przyszedł dzień posełków, wszyscy na sali ustawieni, meldowali się za porządkiem, wreszcie jak przyszła kolej na Pintaka, jak przystąpi, jak zprezentuje przed księciem broń, że ledwo łoże u karabina nie pękło, jak zrobi na lewo w tył, krótko, ostro, tak że Konstanty porwał go za ramię, zaczął nim wykręcać, klepać, wołać:

— Ha, to ty Pintak, tęgiś, patrzcie panowie, to tygodniowy rekrut, rekrut mówię, a co nie tęgi posełka, teraz idź, niech ci dadzą rubla i szklankę kawy, a sprawuj się dobrze, lubisz kawę panie Pintak, co?

— Niewiem, wasza książęca mość.

— No sprobuj, idź.

— A co to znaczyło? spytałem.

— Ot, wprowadziwszy Konstanty zwyczaj posełek, dla zachęcenia i nagrody, kto się szczególnie dobrze zameldował, dobrze, ostro broń zprezentował, a nadewszystko jak był w sztosie, to przynoszono posełce szklankę kawy tam zaraz na pokojach i rubla przytem. Ale jak razu pewnego jakiś z wielkiej nieśmiałości szklankę z kawą na posadzkę opuścił i stłukł, tak odtąd którenn na ten honor zasłużył sobie, to posełą go książę do kamerdynera, a ten mu kawę i rubla fasuje. Otóż Pintaka tam odesłano. Skoro wszedł do pokoju kamerdynera i stanął u drzwi, ten zaraz mu kazał podać kawę, która na ten wypadek zawsze jest gotowa, i rubla, a że w owej chwili jabłka przebierał, z grzeczności, na odchodnem, dał mu piękne jabłko.

Coś w miesiąc potem, gdy kolej posełek znowu przyszła na tęż samą kompanię, Pintaka wysłano, a że nie tak to łatwo dobrać ludzi na tę służbę, więc z każdej kompanii raz na zawsze wybrani są ludzie do posełek. Książę w owym dniu był zły, posełki się zameldowały. Pintak po swojemu sprawił się dobrze, ale nawet nie spojrzał książę na niego. On jednak choć mu tą razą niekazano, wprost wali do kamerdynera, i staje u drzwi. Ten pewny że go książę przysłał, podał mu kawę i rubla. Pintak, kawę wypił, rubla schował, i stoi. Kamerdyner ujrzawszy to, zapytał:

— Czego jeszcze czeka?

— Jabłka.

— O ja dziś niemam jabłka, krótko mu tamten odrzekł.

— A mnie co do tego, kiedy mi się należy.

— Ależ mój bracie z kąd ci się ma należeć? wtenczas miałem jabłka, więc ci z grzeczności jedno podarowałem, ale dziś nie mam i niedam.

— A co tam wasan prawisz, ja wiem co mi się od skarbu należy, szklanka kawy, rubel i jabłko. Tamtom dostał a to dobrze, ale i jabłko muszę mieć.

— A czy cię licho z jabłkiem, na masz złotówkę,— kup sobie jabłek, kiedy ci się tak zachciało a daj mi już spokój.

— O nie, ja sobie także potrafię kupić za swoje pieniądze, ale mnie się patrzy skarbowe, książęce jabłko.

Jakoś książę czy przechodził, czy dosłyszał tej sprzeczki, dość że wszedł do kamerdynera a spostrzegłszy Pintaka, ostro go zapytał.

— Co tu robisz?—po coś przyszedł,—kto ci kazał — kto ty?

— Pintak jestem, przyszedłem po kawę, rubla i jabłko.

— Co on gada? jakie jabłko?

Tu kamerdyner opowiedział co zaszło.

— A kto ci tu kazał przyjść? zapytał znowu książę; to ty myślisz że tu zawsze kawę i ruble ci dawać będą? co? i jeszcze jabłka mu się zachciewa? Ale po chwili zapytał znowu.

— To ty lubisz jabłka? no, gadaj.

— Nie koniecznie i lubię, ale co się żołnierzowi należy, to się o to dopomnieć powinien.

— Głupiś, kawa ci się nie należy, i rubel nie należy, ani jabłko. Tamto moja łaska, a to jego że ci dał. Ale kiedy ci się tak jabłka zachciało, panie Pintak, to daj mu jeszcze rubla, ale sobie nakup raz na zawsze jabłek, a drugi raz mi się tu kłócić nie przychodź, bo pójdziesz do kozy, no idź.

Odtąd książę jeździł co dzień prawie do koszar 4go liniowego odwiedzać Pintaka, kazał go wołać, rozmawiali z nim, często gęsto rubla dał, raz nawet przysłał po niego dorożką na obiad do siebie, a tam kazał mu przy różnych gościach i damach, meldować się, maszerować i diabeł

nie wie co z nim nie wyrabiał, ot tak jak kiedy to kto wyżłem lub pudlem dobrze wytresowanym popisuje się. Boże odpuść! Ale szalony Pintak rad był z tego i tak zhardział, że jak mu cokolwiek już nie podoficer, ale kapitan a nawet i półkownik powiedział, zaraz odgrażał się że się poskarży księciu. Do tego przyszło, że aż w raporcie musiano go przed w. księciem zaskarżyć i odtąd niby wypadł złaski, ale jak jest w koszarach książę się jeszcze o niego dopytuje.

Co rozumieć teraz należy przez wyrażenia:

człowiek dystyngowany, człowiek porządny, człowiek filozof.

(Ciąg dalszy).

2. Człowiek porządny.

Gatunek najliczniejszy z jakim spotykamy się wszędzie. Może nim być czasem kawaler, ale najczęściej bywa to już człowiek żonaty, który aby zasłużyć na nazwę porządnego, zwykle nie żeni się młodo, lecz dopiero dawszy wyburzyć się młodości swojej, gdyż nie zasłużyłby na nazwę porządnego człowieka, gdyby się nie trzymał starego axiomatu, że młode piwko wyszumić musi. Wprawdzie w tej fermentacji zostawi często z połowę czupryny, a weźmie w zamian jaki ból w nogach lub w rękach, mimo to nazywa się jeszcze w czterdziestu latach młodym człowiekiem i żeni się z ośmnastoletnią panienką. Wtedy rozpierając się samowolnie na swej mężowskiej powadze, czcić każe żonie kaprysy swoje i coraz na zapamiętalszego wyrabia się samoluba.

Człowiek porządny nie jest graczem, jednak po kilka godzin dziennie grywa w wista i preferansa, choć twierdzi że jest nadzwyczaj zajęty i nigdy nie ma czasu na wiele pożytecznych rzeczy Człowiek porządny nie jest pijakiem, jednak bardzo lubi śniadanka. i obia!y proszone, na których często libacje wprowadzają go w dobry humor i rozgrzewają dowcip, krążący najczęściej w szpetnem kółku wszetecznych konceptów.

Człowiek porządny okrzyczany jest za najlepszego ojca, bo huśta na kolanach dzieci swoje, i przynosi im czasem cukierków. Jednak choć on zwykle narzeka, że je żona źle wychowuje, nie wiejrzy w to, żeby były wychowane lepiej. Powie im tylko czasem, że matka głupia, a na dowód zapewne mądrości swojej, popisuje się przed niemi z gorszącem słowem; nie kryje się z jeszcze bardziej gorszącym przykładem, resztę zostawia zwyczajnemu biegowi rzeczy, skory potem do narzekania na dzieci i nawet na żonę, jeżeli mu jego potomstwo chwały, jakiej się spodziewał, nie przyniesie.

Człowiek porządny jest jak to mówią, religjantem, to jest nie wypiera się tego że był chrzczony, według któregoś z chrześcjańskich obrządków, ale sądzi się być za nadto wyższym, aby się zniżać do wypełniania przepisów wyznania swego.

Ponieważ wszyscy żonę przekonywują że mąż jej daje tysiące miłości dowodów, więc usiłuje ona wierzyć w tę miłość, którą często gorzkiemi okupuje łzami. Żona bowiem człowieka porządnego jest uważana za najszczęśliwszą z kobiet, dla tego też wszyscy na nią powstają, jeżeli nie ceni szczęścia swego, śmie dostrzedz, że mąż bywa często grzeczniejszy dla jej pokojówki, niż dla niej samej. Dobrze jej tak! to jej wina.

Mąż często wychodzi z domu, o dzieci nie dba, a baletniczkom robi prezenta, to jej wina, bo nie ma dosyć wdzięku aby go zatrzymała.

Mąż siedzi ciągle w domu, to jej wina, nieznośna kobieta z której się wszyscy naśmiewają, nudzi go zazdrością swoją i trzyma jak na uwięzi.

Powiedziałże jej niezasłużenie niedorzeczność, grubiaństwo nawet przy obcych, to jej wina, każdy z góry powiada, na co na to zasługuje.

Jest nieradnym w niczem, nie umiejącym poprowadzić interesów, to jej wina, trzyma go pod pantoflem.

Pokłócił się z kim w sąsiedztwie, to jej wina, ona go powinna na czas wstrzymać.

Dokucza jej tak, że aż jej zdrowie uleciało razem ze łzami jej oczów, to jej wina, ona powinna być zdrową.

Opuszcza ją dla innych, to jeszcze jej wina, czemu się starzeje?

Wszyscy zatem koledzy człowieka porządnego boleją nad nim, że ma słabowitą żonę, bo na cóż to w domu chora kobieta: mają go nawet za wytłumaczonego, jeżeliby ją opuścił zupełnie. Jeżeli żona umiera a mąż jej sprawia suty pogrzeb, wszyscy rozpływają się nad jego przywiązaniem. Człowiek porządny pamiętając jak mu się prędko pierwsza żona sprzykrzyła, zwykle nie żeni się z drugą, powiada że to czyni dla dzieci, a wszyscy wielbiąc jego ojcowskie przywiązanie, chwalą że im nie zrobił uszczerbku w majątku i nie razi tyle nikogo, iż często gorszącym przykładem na duszy te dzieci gubi.

Czasem też porządny człowiek doszedłszy lat sześćdziesięciu, żeni się z szesnasto-letnią dziewczynką i dla nowego potomstwa zupełnie o dzieciach z pierwszego małżeństwa zapomina. Na to pokiwają trochę głową znajomi, lecz to mu nie odejmie nazwy porządnego człowieka, i jeszcze na pogrzebowej stypie cnoty jego sławić będą. (D. n,)

Rozmaitość.

* W niedzielę Cesarzewicz Jegomość Karol Ludwik o godzinie pół do 8mej wysłuchał mszy świętej w kościele archikatedralnym. Powróciwszy do swego pomieszkania zastał tam zebranych na pożegnanie: J. Ex. hrabi Namiestnika wraz z hrabiną Namiestnikową, J. Ex. arcybiskupa, biskupów i prezydentów urzędów. Po przyjęciu hołdów pożegnania wyjechał Cesarzewicz po godzinie 9tej jednym powozem,ocztą, w towarzystwie swego szambelana, podpółkownika Hornsteina do Wiednia.

* Przybyły do Lwowa malarz Tysiewicz który wydał Konrada Walenroda w trzech językach, bardzo ozdobnie i z illustracyami w Paryżu, ofiarował to dzieło, podobno najpiękniejsze wydanie polskie, Cesarzewiczowi Karolowi Ludwikowi i otrzymał w dowód uznania piękny zegarek złoty.

* Pan Tysiewicz urządza wystawę obrazów w sali Zakładu narodowego Ossolińskich. W przyszłym tygodniu w czwartek ma być otwarta. Życzyćby należało, aby do tej wystawy przyłączyli się i inni malarze tutejsi i tym sposobem dali się poznać lub przypomnieli publiczności tutejszej.

* Występującą po kilku tygodniowej słabości panią Aszperger po raz pierwszy w komedyi Scribego „Dziesięć lat życia kobiety" przyjęła licznie zebrana publiczność grzmiącemi oklaskami.

Szarada.

Pierwsze z trzeciem nakrycie,
Drugie coś ci daje,
Wszystko mebel pożyteczny,
Tak mi się wydaje.

Przyjechali od dnia 15. do 17. Grudnia do Lwowa.

PP. Paygert Stanisław, z Krzywenki. Hejdel Stanisław, br. z Chmielowa. Raciborski Napoleon, z Czarnolicy. Wolański Erazm, z Czarnokoniec. Jakubowicz Józef, z Kurzan. Majewski Jan, ze Zbaraża. Potocki Józef, z Wojniłowa. Antoniewicz Wincenty ze Skwarzawy. Mierzyński Rafał, z Baryłowa. Bal Franciszek, z Tuliglów. Kotkowski Władysław, z Czerlan. Brzozowski Jan, ze Stanisławowa. Urbański Xawery, z Haczowa. Karnicki Feliks, hr, z Rogużna. Krasiński Piotr, hr. z Rohatyna. Zawadzki. Józef, z Tarnopola.

PP. Morawski Ignacy, z Oleszczy. Pilatowski Marcel, z Bóbrki. Czermiński Juliusz, z Glińska. Grochowalski Karol, z Tucznego. Tchorznicki Jan, Cucułowa. Sokołowski Konstanty, z Ulicka.

PP. Niezabitowski Napoleon, z Nakła. Strachocki Józef, z Rudnik. Załęski Gabryel, z Iskani. Czajkowski Izydor, z Jarosławic. Osmiałowski Seweryn, z Janczyna. Karniewski Wojciech, z Łopatyna. Dobek Konstanty, ze Sarnek górnych. Mrozowicki Michał, ze Sokołówki. Wojnarowski Antoni, ze Stryja. Turczyński Jan, ze Żółkwi. Bobrowski Klemens, z Korsowa.

Wyjechali od dnia 15. do 17. Grudnia ze Lwowa:

PP. Laskowski Maxymilian, do Lipnik. Bogdański Jan, do Sielca. Bogdański Edward, do Zabłociec. Szawłowski Ludwik, do Tarnowa. Smoliński Józef, do Kruszelnicy. Borkowski Edward, hr. do Żelca.

PP. Kielanowski Tytus, do Zielechowa wielkiego. Kawecki Wiktor, do Beniowej. Wiszniewski Henryk, do Dobrzan. Zaklika Edward, do Przemyśla. Arachamowicz Józef, do Trojcy. Badeni Władysław, hr. do Surochowa.

PP. Nowacki Kazimierz, do Tejsarowa. Romaszkan Zygmunt, do Derewacza. Antoniewicz Wincenty, do Skwarzawy. Witkowski Władysław, do Srok. Płocki Józef, do Janczyna. Jankowski Ludwik, do Bożykowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 17 b. m. o g. 2. po połud.

Amsterdam	$104\frac{3}{8}$	Medyolan za 300 lirów .	$124\frac{1}{2}$
Augsburg za 100 złr. .	$126\frac{7}{8}$	Paryż za 300 franków .	$147\frac{1}{4}$
Bukareszt	—	Agio duk. ces.	—
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy	$125\frac{5}{8}$	Srebra agio	—
Genua.	—	Pożyczka 5% $8\frac{15}{16}$ $4\frac{1}{2}$	—
Hamburg za 100 tal. banco	$93\frac{1}{4}$	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	—	Akcye banku	—
Liwurno	—	Kolej północna	$1871\frac{1}{4}$
Londyn za 1 funt szterl.,	12 14	Obl. ind.	$74\frac{1}{4}$
Marsylia	$147\frac{1}{4}$	Nowa pożyczka z loteryą	$98\frac{5}{8}$
		Pożyczka narodowa . .	$86\frac{3}{8}$

Wczorajszy Kurs Lwowski Gotówką towarem.

	Gotówką				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	52	złr.	5	kr.	55
Dukat cesarski	«	5	»	56	»	6	«	—
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	11	»	10	«	13
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	58	«	1	»	59
Talar pruski	»	1	«	52	»	1	«	54
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	25	»	1	«	26
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. bez kuponu	»	87	«	25	»	88	«	—

Obligacye. indemnizacyjne 74. 50 do 75 złr. 30 kr.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**

Doniesienia.

In Rudolf Lechner's k. k. Universitäts-Buchhandlung in Wien, ist erschienen und

in Lemberg bei **Karl Wild** zu haben:

KARL WINTERNITZ,

Verfassers des Lesespieles,

unentbehrliche Kinderspiele

für Kinder von vier bis sieben Jahren.

Erste Serie.

Lesespiel. (In einem Jahre 7000 Exemplare abgesetzt.) Mit 100 Buchstabenkarten, 1 Vorlegetafel, 19 Vorlegeblättern und 1¼ Bogen Text. Preis 48 kr. — schöne Ausg. 1 fl. 30 kr.

Schreibspiel. Mit 100 Buchstabenkarten, 1 Vorlegetafel, 1 elastischen Schreibtafel, 14 dazu gehörigen Vorschriften, 2 Schreibbücheln 1 Tufsteinstift, 1 feinen Bleistift, einer Kinderhandschrift und 2¼ Bogen Text. Preis 2 fl.

Rechenspiel. Mit 58 Karten, 9 Vorlegetafeln und 2¼ Bogen Text. Preis 48 kr., schöne Ausgabe 1 fl 30 kr.

Länderspiel von Europa. Ein Zerlegebild in Congreve-Druck mit 2¼ Bogen Text. Preis 2 fl.

Kaiserspiel. 54 Kaiserbilder auf Kartenpapier in Futteral und 2¼ Bogen Text, Preis 2 fl.

Ueber die thatsächlichen Erfolge der, ausser dem Lesespiele, so eben erschienenen weiteren vier Kinderspiele spricht sich die „Wiener Zeitung" vom 13. April 1854 folgender Massen aus:

„Der Verfasser des bekannten Lesespieles für kleine Kinder, Hr. Winternitz, dessen Unternehmen in einer raschen Folge von Auflagen in alle Klassen der Gesellschaft Eingang fand und mit allgemeinem Beifalle aufgenommen wurde, bereitet so eben die Herausgabe weiterer Spiele und zwar eines Rechen-, Schreib-, Länder- und Geschichtsspieles vor, bei deren Bearbeitung er sich von dem bei dem Lesespiele eingehaltenen Grundsätzen leiten lässt. Es war uns gegönnt, bereits die Erfolge, welche in überraschender Weise durch diese neuen Spiele erzielt werden, an einem Knaben beobachten zu können und wir dürfen nach diesen Proben die Grundhältigkeit dieses Unternehmens aussprechen, welches ohne Zweifel dazu beitragen wird, dem Anschauungsunterrichte immer weitere Bahn zu brechen, und hiedurch den günstigen Einfluss seiner Methode auf das Wohl der häuslichen, insbesondere aber der mütterlichen Erziehung kennen und würdigen zu lernen." (195. 2—3)

---

(183) W handlu towarów galanteryjnych i norymbersko-drobiazgowych (3—4)

Michała Dymeta we Lwowie

„pod Nadzieją"



dostać można

KOLENDY

w obfitym wyborze, zacząwszy od pierwszych zabawek dla dzieci-niemowląt, tak stopniowo do każdej pory wieku dziecinnego stósownych, w cenie od jednego grajcara aż do kilku reńskich.

(2—3) (188)

* *
*

1854. **Listopad.**

Świątynia małżeństwa.

Zakład ten istniejący dopiero od 6. miesięcy (dla wszystkich narodów) liczy już przeszło 200 wpisanych. Wpisali się do tego zakładu osoby z wszystkich kantonów Szwajcaryi, Galicyi, Badeńskiego, Czech, Saxonii, Bawarii, Wirtenbergu, Prus, Włoch, Anglii, Austryi i Francyi, których majątek razem dochodzi kilku milionów. Między niemi znajdują się córki i wdowy wszystkich stanów, profesyoniści, artyści, professorowie, kupcy, właściciele domów, kawiarń, hotelów, dóbr, fabryk, lekarze, aptekarze, budowniczy, kapitaliści, prawnicy, radcy gmin policyjni i miejscy, wysocy urzędnicy biurowi i od kolei żelaznych, kantonowi i federacyjni, oficerowie, kapitanowie parowych statków i dyrektorowie kolei żelanych, dowódcy wójsk książęcych, oficerowie cesarsko-francuskiej legii honorowej i t. d.

Zgłoszenia wraz z portretami odbierane są frankowanemi listami pod adresą B. B. poste restante w Bernie, Paryżu, Sztutgardzie i Algierze. **Dyrekcya.**

DWA  FORTEPIANY

jeden nowy, drugi stary do sprzedania lub wypożyczenia, bliższa wiadomość pod Nr. 121 miasto na 3cim piątrze. (178. 3—6)

Obrazy olejno-malowane

słynniejszych malarzy, są do sprzedania z wolnej ręki, we Lwowie w rynku, w kamienicy Pfaffa na trzeciem piątrze. (182. 3—3)



DWA FORTEPIANY
WIEDEŃSKIE,

zupełnie nowe, sławnej fabryki **Bösendorfera**, jeden orzechowy, drugi zaś palisandrowy są z wolnej ręki do sprzedania. Bliższa wiadomość przy ulicy Piekarskiej Nr. 5542
(3—3) (175)

(196) (2—8)

Młyńskich kamieni

gatunku najlepszego, różnej grubości i wielkości, po cenie 40 kr. m. k. za cal, dostać można każdego czasu bez dalszych opłat w kamieniołomie wsi Żędowic w obwodzie Brzeżańskim, o pół mili od drogi cesarskiej a milę od Przemyślan odległej.

Die Buchhandlung von **Karl Wild** in Lemberg
Ring, Ecke der Dominikaner Gasse,
nimmt fortwährend Pränumerationen an und theilt auf Verlangen zur Einsicht mit:

Schlosser's Weltgeschichte

für das deutsche Volk. Unter G. L. Krieg's Mitwirkung bei der Redaktion herausgegeben von F. C. Schlosser. 17 Bände gr. Oktav. Preis pr. Band von 30—36 Bogen **25** sgr. = **1** fl. **40** kr. Conv. Mze. Banknoten.

Es liegen 15½ Bände vollendet vor: die zur Vervollständigung noch fehlenden 1½ Bände sind unter des Presse und erscheinen in wenigen Wochen.

Nach dem einstimmigen Urtheil der angesehensten Historiker überragt Schlosser's Weltgeschichte alle vorhandenen ähnlichen Werke, durch ihre gründliche, unpartheiische und geistreiche Darstellung.

(184) (3—3) **Expedition von Schlosser's Weltgeschichte**

W komisie księgarni **Karola Wilda** we Lwowie wyszły i są do nabycia po wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych:

PRZEWODNIK
praktyczny gospodarski

przez
Ottmara Viktoryniego.
w 8ce 198 str. Lwów 1854. — 2 Złr. m. k.

PISOWNIA POLSKA

przez
LEONA DUNINA RZUCHOWSKIEGO.
To dziełko wymienia nie-omal wszystkie błędy popełnić się mogące. Broszurka z 46 str. w 8ce. Lwów 1853. — 12 kr. m. k.

Dawniej wyszły:

MELODYE BIBLIJNE

przez
Kornela Ujejskiego.
Ozdobny tomik o 143. str. w 12ce. Lwów 1852. — 1 Złr. 30 kr
W pięknej wyzłacanej oprawie 2 Złr. 15 kr.

Wspomnienia z podróży
PO KRYMIE

przez
Edmunda Chojeckiego.
1 tom w 8ce 2 Złr. (185) (3—3)

(186) (4—4)

Doniesienie o nasionach.

C. Platz i syn w Erfurcie podaje do wiadomości iż w handlu **Frydryka Schubuta** synów we Lwowie utrzymują skład swieżych zawsze i co do kiełkowania niezawodnych nasion warzywa i kwiatów. Pierwszy transpor nadejdzie do Lwowa za 3—do 4 tygodni. Katalogów bezpłatnie już teraz udziela **handel Frydryka Schubuta synówzy** przy ulicy krakowskiej pod Nr. 159.